

# PIERWSZY

Napisał: Marek Nowak

Ilustrował: Przemysław Woźniak

Siedział przede mną pochylony, łapczywie zaciągał się papierosem i czekał. A ja patrzyłem na zdjęcie rentgenowskie i, jak mała udająca człowieka, grzebałem w innych wynikach badań leżących na biurku. W zasadzie wszystko było jasne – guz wielkości pięści między płucami – trudno to było pomylić z grypą. Trzeba skończyć z tym idiotycznym przewracaniem papierów i coś człowiekowi powiedzieć – no, pocieszyć go jakos. Uderzyłem energicznie dłonią w blat biurka i powiedziałem:

– Dużo pan pali, stanowczo za dużo, człowieku trzeba zdrowie oszczędzać, tak naprawdę nie można...

Zachowywał się tak jakbym to powiedział do kogoś stojącego obok niego, nawet spojrzał w tamtym kierunku. Wróciłem więc do miętoszenia papierów. Gdyby chciał mi pomóc, gdyby zapytał o cokolwiek... może łatwiej byłoby mi ogłosić wyrok, że oto w imieniu najwyższej medycznej niemocy, z przyczyny wyjątkowej złośliwości niektórych komórek twojego organizmu jesteś, Janie Suwalski skazany na śmierć – jednym słowem nowotwór i to w zasadzie w stanie nieoperacyjnym. Nie powiem mu przecież tego. A może by tak coś o nadzwyczajnych cudach współczesnej medycyny? Już otwierałem usta, gdy Suwalski wychrypiął:

– Ale przecież mnie nic nie boli – dobrze się czuję... i w ogóle...

Nareszcie zaczął mówić. Wykorzystałem ten moment, uśmiechnąłem się przyjaźnie i zacząłem raczej w pogodnej tonacji:

– No, wie pan, wyniki badań nie wyglądają najgorzej posiedzi pan u nas parę dni, odpocznie, zrobimy jeszcze kilka badań... a potem zobaczymy.

Nie przekonałem go chyba, bo pokiwał smutnie głową i zrezygnowany odparł:

– Ale to onkologia, nie?

– No to co, że onkologia? To tylko słowo niepotrzebnie nabierające w odczuciu społecznym grozy. To jest proszę pana jeden z wielu działów medycyny, zajmujący się konkretnym zjawiskiem... i mamy wiele sukcesów w tej dziedzinie.

Powiedziałem to uczenie, ale z przekonaniem jednocześnie, bo pacjent uspokoił się. Kazałem zgłosić się mu następnego dnia godz. 8. Bez słowa pożegnania Jan Suwalski – mechanik samochodowy, trzydziestoletni mężczyzna, ukłonił się niezgrabnie w przodu i wyszedł.

Musiałem zaparzyć sobie mocnej kawy i zapalić papierosa, szkodliwego wprawdzie dla zdrowia, ale jest przynajmniej czym zająć ręce. Przyzwyczaiałem się do widoku śmierci, nawet cierpienia, ale chyba nigdy nie przywyknę do prowadzenia takich rozmów. Za każdym razem jest to samo, kiedy muszę powiedzieć pacjentowi, że w zasadzie jest zdrowy jak ryba, ale jednak musi u nas

pozostać. Albo kiedy mówię prawdę i muszę obserwować reakcję ludzi od tej chwili przeświadczonych, że wkrótce umrą. Rozmaicie się wtedy zachowują. Najtrudniej dociera do nich perspektywa wyleczenia, staje się to zupełnie nie-realną wizją, śmierć natomiast staje się czymś bardzo realnym, namacalnym wręcz. Czy można zresztą im się dziwić?

Następnego dnia zastałem Suwalskiego już na sali chorych. Po dwóch tygodniach badań i obserwacji należało podjąć decyzję. Właściwie chodziło tylko o zgodę Jana Suwalskiego na operację, wynikającą raczej z normalnego porządku rzeczy, niż dającą realną szansę wyleczenia pacjenta. Doszło więc do następnej rozmowy. Powiedziałem wprost, że tylko operacja daje jakąś szansę na wyleczenie. Jeżeli nie wyrazi na nią zgody, to ma przed sobą najwyżej 3 miesiące życia. Dałem mu dwa dni na zastanowienie się, ale przestrzegłem, że każdy dzień zwłoki działa tylko na jego niekorzyść.

Następnego dnia jedna z pielęgniarek przyniosła mi jakiś list.

– To dla mnie? – zapytałem, dając jednocześnie do zrozumienia, że nie wiem w czym rzecz.

– Dziś w nocy uciekł pacjent, zostawił ten list dla pana. Intuicyjnie zapytałem, czy ten niepoważny pacjent nie nazywa się Jan Suwalski i trafiłem w dziesiątkę. Jan Suwalski tej nocy uciekł z naszego szpitala, zachował się jak smarkacz – mógł przecież najwyuczajniej w świecie nie zgodzić się na operację, poprosić o wypis i pojechać do domu. Otworzyłem list i przeczytałem: „Czuję się dobrze, nic mnie nie boli, pokroić się nie dam” – podpisano – „Jan Suwalski”. Tak więc z czystym sumieniem, gdyby to było możliwe, można już dziś na koszt szpitala zamówić Janowi Suwalskiemu – mechanikowi samochodowemu, piękny wieniec z goździków i gałązek jodły...



Tęgi zad ciężarówki rósł przed maską samochodu, coraz szybciej i szybciej... hamowałem, oczywiście, że hamowałem, aż do momentu silnego wstrząsu i brzęku tłuczonych szyb. Kraksa! Bez większych obrażeń do miasta wróciłem autobusem, a mój samochód odholowano do najbliższej stacji obsługi.

Pojechałem tam po miesiącu; o tym, że mój wóz nie jest jeszcze naprawiony – byłem przekonany. Ale chciałem zobaczyć jak robota postępuje. Stałem z kierownikiem warsztatu na środku brudnego, zagrazonego podwórza, paliliśmy papierosy i rozmawiali – oczywiście o motoryzacji. W pewnym momencie – dość niespodziewanie – krzyknął w kierunku otwartego garażu:

– Panie Janku! Chodź no pan tu na chwilę!

Zrozumiałem, że pan Janek jest w jakiś sposób związany z moim rozbitym samochodem, być może go naprawia. Spod jednego z samochodów wyszła ubrana w kombinezon i beretkę, wybrudzona smarami postać. Podchodził do nas wolno i wycierał ręce w pakuły. Znałem skądś tego człowieka. Tylko gdzie i kiedy go spotkałem? On najwidoczniej pamiętał mnie lepiej, bo uśmiechnął się jakby z zażenowaniem i powiedział:

– Dzień dobry, panie doktorze.

I wtedy przypomniałem sobie skąd znam tę twarz. Jan, nazwiska, nie pamiętam – chyba Suwała czy tak jakoś, mechanik samochodowy, mój pacjent – uciekinier, chyba sprzed trzech lat. Patrzyłem zaskoczony jak zaciąga się papierosem i na usta cisnęło mi się pytanie „Jak to się stało człowieku, że ty jeszcze żyjesz? Wyglądasz dobrze, pracujesz... A może leczyłeś się gdzie indziej? Gdzie?” Wyduśliłem z siebie ni to pytanie, ni to stwierdzenie:

– Dużo pan pali w dalszym ciągu.

Nie zdziwiło go to specjalnie, bo natychmiast odpowiedział:

– Ale czuję się dobrze, nic mnie nie boli.

Trzy lata temu wyuczył się tego frazezu i w dalszym ciągu powtarza jak katarzynka. Koniecznie chciałem z nim porozmawiać – jak lekarz z pacjentem. Gdyby tak jeszcze dał się zbadać? Okazało się, że mój samochód jest już naprawiony. Musiałem ten fakt w jakiś sposób wykorzystać, chodziło mi oczywiście o bezpośredni lekarski kontakt z moim byłym pacjentem. Ująłem go za ramię i powiedziałem, że jeżeli, oczywiście – nie sprawi mu to kłopotu, ponieważ dzisiaj nie mogę, a jutro jestem bardzo zajęty, więc gdyby mógł przyprowadzić mi jutro samochód pod szpital, to byłbym mu niezmiernie wdzięczny, a moja wdzięczność miałaby określony finansowy wymiar. Popatrzył wymownie na swego szefa, szef poskrobał się po głowie i powiedział:

– Dobra, panie Janku, załatwi pan to jutro.

Umówiliśmy się, że gdzieś około godz. 11, podjedzie pod szpital, a mnie przyniesie kluczyki. Uregulowałem rachunek i wróciłem do miasta autobusem.

Do szpitala przyszedłem wcześniej niż zazwyczaj i zaraz zacząłem wertować archiwum. Alfabetycznie po porządku, dość szybko znalazłem szarą kopertę z napisem: Jan Suwalski. Przejrzałem wszystko dokładnie, z papierów wynikało niezbicie, że w dniu wczorajszym spotkałem upiora. Papiery nie dawały Janowi Suwalskiemu żadnych szans na spokojną starość w otoczeniu gromady wnucząt i prawnucząt. A jednak po trzech latach spotkałem go żywego, nie było w końcu możliwości bym go mógł spotkać w innym stanie.

Zapukał, wszedł i powiedział:

– Dzień dobry!

Zadzwoił kluczykami od samochodu, a jego twarz niedwuznacznie mówiła, że „oto doktorku jestem, przyprowadziłem samochód, daj mi teraz, co obiecałeś i wynoszę się”. O nie, panie Janie

Suwalski, pan tak po prostu nie odejdzie, jest pan zbyt intrygującym przypadkiem, by tak po prostu zainkasować swoją dolę i wyjść. Zaproponowałem mu filiżankę kawy – z ociąganiem, ale zgodził się. No to pierwszy krok zrobiony.

– Ostatni raz spotkaliśmy się w tym gabinecie trzy lata temu. Prawda?

Chciałem przez to zagaic rozmowę. Siorbał nerwowo kawę i nic nie odpowiedział. Więc ja kontynuowałem:

– Tak to już będzie trzy lata. Co pan porabiał przez ten czas? Leczył się pan gdzieś? Dość niespodziewanie pan nas wtedy opuścił...

A on nic. Pije kawę i patrzy gdzieś w podłogę. Częstuje go papierosem – pali, ale w dalszym ciągu milczy.

– A wie pan zupełnie przypadkowo znalazłem kopertę – tak tę sprzed trzech lat, z rozpoznaniem pana choroby i wynikami badań. Chce pan przeczytać?

Nie wyrażał większego zainteresowania, ale postawił filiżankę na tacy i powiedział:

– Przecież pan wie, panie doktorze, że ja trafiłem do pana zupełnie przypadkowo. Zawsze byłem zdrowy jak byk. Ale były u nas te... no badania okresowe – mierzenie, ważenie, prześwietlanie – wie pan. I potem lekarz zakładowy kazał mi się zgłosić tutaj. Nic mnie nie bolało, czułem się dobrze, a pan mi nagle proponuje operację!!! Zaraz, zaraz tak ni z tego ni z owego operacja? Ja wiem, pan mi to wszystko wtedy tłumaczył – co mnie czeka, gdy się nie zgodzę. Ale postanowiłem sobie, że się nie dam pokroić. No to zakręciłem się koło swoich ciuchów, dałem w łapę portierowi i prysnąłem do domu. No i co? Normalnie pracuję, mam rodzinę i na zdrowie nie narzekam. A jakbym się dał zoperować – to już by było po mnie.

Machnął lekceważąco ręką i znów zaczął posiorbywać kawę. Z jego słów wynikało, że nigdzie się w tym czasie nie leczył. To wszystko zaczęło nabierać po-

smaku niesamowitości. Wziąłem jedną kartkę papieru z szarej koperty i poprosiłem, aby głośno przeczytał:

– Stan nieoperacyjny.

Wysylabizował, nie w pełni rozumiejąc w czym rzecz. Wtedy postanowiłem wejść ostro i powiedziałem:

– To oznacza drogi panie Janku, że trzy lata temu nie miał pan prawie żadnych szans na wyleczenie. Miał pan guza wielkości pięści między płucami. Jeżeli wtedy proponowałem panu operację, to tylko dlatego, że krył się w tym jakiś minimalny promil szansy. Ale operacji nie było, nie leczył się pan nigdzie... i zdrowy przynajmniej na oko siedzi pan przede mną. Jak to się stało, że pan żyje, panie Janku?

Zrobiło to na nim duże wrażenie. Może nawet większe niż trzy lata temu kiedy proponowałem mu operację. Nagle przypomniał sobie coś bardzo ważnego, bo uśmiechnął się z pewną wyższością i powiedział:

– Ale żyję! Nie?

Nie dodać, nie ująć. Postanowiłem więc wyjaśnić mu wszystko do końca:

– Powiem panu wprost o co chodzi. Powiedzmy raz, na sto tysięcy beznadziejnych nowotworowych przypadków – zdarza się cud. Nowotwór cofa się i chory wraca do zdrowia. I pan jest właśnie takim fenomenem, w pańskim przypadku zdarzył się właśnie taki cud. Dlatego mam do pana ogromną prośbę – której nie może pan odmówić. Nie chodzi tym razem o cuda, chciałbym po prostu, żeby zgodził się pan na powtórzenie niektórych badań. Nic więcej od pana nie chcę.

Początkowo nie chciał o niczym słyszeć. Wymawiał się brakiem czasu, nawąłem pracy i w ogóle nie chciał już do tego tematu wracać. Obiecywałem wszystko, co mogłem: pieniądze, zwolnienie lekarskie, europejską, a może nawet światową sławę, odwoływałem się do humanitarnych wartości życia człowieka – do konieczności poświęcenia

się, w pewnych wypadkach dla dobra sprawy. Był głuchy jak pień na wszelkie moje argumenty. Po prostu bał się. Bał się kontaktu ze mną i ze szpitalem, w którym pracuję. No cóż – trzeba będzie zastosować metodę małych kroków:

– Ale na zrobienie zdjęcia rentgenowskiego może się pan zgodzić?

Nie czekałem na odpowiedź. Złapałem go za rękę, powiedziałem – chodźmy. I szybko po schodach zbiegliśmy do pracowni radiologicznej.

Historia lubi się powtarzać – po zrobieniu zdjęcia wszedł do przebiegalni i drugimi drzwiami wychodzącymi na korytarz – ulotnił się jak kamfora. Cholerny mechanik, nawet mu nie zapłaciłem za przyprowadzenie samochodu.

Po trzech godzinach przyszedł do mnie Krzysztof – kolega, który robił zdjęcie Suwalskiemu, położył jeszcze mokre zdjęcie na biurku powiedział krótko i dobitnie: „Moriturus” i wyszedł.

Założyłem zdjęcie na podświetlacz. Obraz, który zobaczyłem był zupełnie nieoczekiwany. Wstrzymałem oddech i założyłem to stare zdjęcie sprzed trzech lat, znów założyłem to zdjęcie dzisiejsze. I w jednym i w drugim wypadku miałem przed sobą identyczny obraz. I na jednym i na drugim guz wielkości pięści uśmiechał się złośliwie między płucami – jakby pozował do zdjęcia! A Jan Suwalski żyje! Naprawia teraz jakiś samochód dobrze i szybko. Potem pójdzie do domu, obejrzy telewizor i spać! A może to inaczej wygląda? Może po pracy idzie na cmentarz, odsuwa kamienną płytę grobowca, otwiera wieko trumny i udaje się na spoczynek?

Po skończonej pracy wsiadłem w swój naprawiony samochód i w zasadzie miałem jechać do domu – na obiad. Ale tak jakoś wykręciła mi się kierownica, że pojechałem do znanego mi już warsztatu samochodowego za miastem. Zostałem samochód na podwórku i wsze-

dłem do kantorka kierownika. Wesoło tu było. Kierownik, Suwalski i jeszcze dwóch mechaników – wypili już dwie półlitrowki i napoczęli trzecią.

– Co jest, panie doktorze?

Zawołał to do mnie wesoło kierownik warsztatu.

– Samochód źle zrobiony? A nie napiłby się pan z nami? Proszę bardzo.

Normalnie to bym powiedział, że nie piję, bo takie mam zasady i jestem samochodem. Ale przyszła mi ochota, trudno to zresztą nazwać ochotą, żeby właśnie się napić. Może Suwalskiemu rozwiąże się język. I będę mógł go nakłonić... Do czego? A tego jeszcze nie wiem.

Rozmowa oczywiście skierowała się na tematy motoryzacyjne, jak to między samochodziarzami i przy kieliszku. W pewnym momencie nieoczekiwanie Suwalski zapytał:

– A jak tam to moje zdjęcie, panie doktorze?

Chcesz wiedzieć? No to wiedz, że nic się nie zmieniło i tak też mu odpowiedziałem. Popatrzył na mnie badawczo, ale o nic więcej nie pytał. Niezłe już nam szumiało w głowach, gdy jeden z mechaników klepnął mnie potężnie w plecy i powiedział:

– Janek mówił nam wszystko, ale niepotrzebnie pan sobie głowę łamie – to z tym zdjęciem to bzdura, maszyna musiała się zaciąć... On ma żelazne zdrowie, wszystkich nas przeżyje, wszystkich... Wierzy mi pan czy nie? Co Janek? Prawdę mówię, czy nie?

Suwalski uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo do swojego kolegi. Ten musiał zrozumieć co oznacza to mrugnięcie, bo zaraz zaproponował:

– Nasz Janek to artysta, panie doktorze, on takie sztuki potrafi pokazywać, że aż się włos jeży na głowie. Janek pokażesz panu doktorowi coś? Może ten numer z rurą?

Pijani wysypaliśmy się z kantorka na podwórko, a stamtąd do garażu. W panującym półmroku mogłem obserwo-

wać jak Jan Suwalski natożył na siebie foliowy worek, do którego jeden z mechaników dołączył gumowy wąż, którego drugi koniec zamocował na rurze wydechowej samochodu. Worek uszczelniono – mocno zawiązując wokół kolan Suwalskiego kawałek sznurka. Wśród głośnych śmiechów ktoś włączył silnik samochodu i do wnętrza worka poprzez gumowy wąż zaczęły wciskać się spaliny. Worek napełniał. W paru miejscach musiał być dziurawy, bo na zewnątrz zaczął się przesączać niebieski dym. Silnik pracował równomiernie. Ruszyłem gwałtownie do przodu, by przerwać to makabryczne widowisko, ale zatrzymały mnie czyjeś silne ręce. Ktoś powiedział:

– Spokojnie panie doktorze, nic mu nie będzie, to jest właśnie cały nasz Janek.

Znieruchomiałem. Zabawa tymczasem za sprawą Suwalskiego stawała się coraz radośniejsza. A to podskakiwał jak małpa, a to zbliżał twarz do powierzchni worka i robił głupie miny. Wyglądał jak wielki półprzeźroczysty, niebieskawy kokon, w którym porusza się poczwarka. Nie zemdłał, nie upadł, nie umarł, skakał, robił głupie miny i zaprzeczał wszelkim uwarunkowaniom ludzkiego bytowania. Ile to trwało? Kwadrans? Pół godziny? Stałem z miną wiejskiego głupka i patrzyłem na coś, co powinno być niemożliwe. A jednak! Potem Suwalski, jakby spod prysznica wyszedł z nylonowego wora i ocierał chusteczką czarną okopconą spalinami twarz. Czy miał zaczerwienione, ale to być może od alkoholu. Zrobiło mi się niedobrze, wyraźnie poczułem w ustach smak benzyny, w głowie szumiało mi jak w ulu. Zakreśliłem się w miejscu i wybiegłem na podwórko w wiadomym celu. Moi kompani od kieliszka wykazali pełne zrozumienie dla mojej niedyspozycji. Ktoś podtrzymywał mnie za ramiona, ktoś inny za każdym odruchem wymiotnym pochylał mi głowę ku ziemi. Świeże

powietrze postawiło mnie na nogi. Wróciliśmy do kantorka kierownika. Pozostała do wypicia jeszcze jedna butelka. Za każdym razem kiedy spojrzałem na Suwalskiego powracał ból głowy i odruch wymiotny. Po co ja tu właściwie przyjechałem? Dlaczego jeszcze tutaj siedzę – wśród tych ludzi? Na co liczę? Czego oczekuję? A nie śniło mi się przypadkiem to wszystko? A może pod wpływem wódki miałem halucynacje? Wódka – no tak, wypiliśmy jej sporo. W pi-jackim widzie jedyne, co jeszcze pamiętam, to klęczącego przede mną, również pijanego Suwalskiego, który płakał i zaklinał się, że dla dobra ludzkości to on pozwoli pokrajać się na tak maleńkie kawałeczki jak dzwonka śledzi. Ależ musiałem mu nagadać. Pamiętam jeszcze, że ucałowałem serdecznie Suwalskiego w obydwie policzki i w imieniu znękaney ludzkości podziękowałem za tak bezprzykładne poświęcenie. Wszyscy byliśmy ogromnie wzruszeni. Raptem znalazłem się w jakimś samochodzie, który później okazał się taksówką. Koło trzeciej w nocy przekręcałem niemrawo klucz w drzwiach swojego mieszkania.

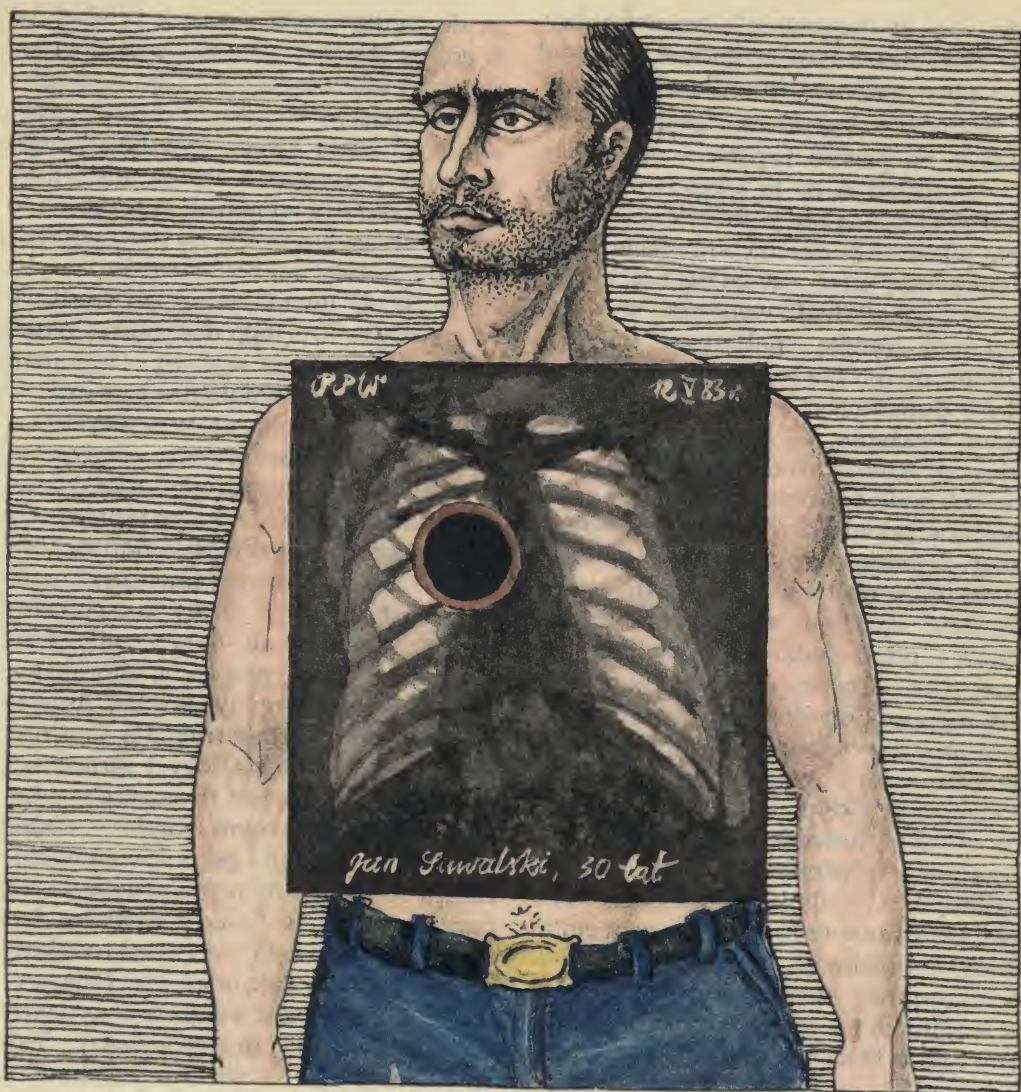
Przebudzenie było straszne. Dobrze, że jest niedziela i nie trzeba iść do pracy. Jako lekarz byłem bezradny, tego bólu głowy nie można się, ot tak od ręki, pozbyć. Oprócz normalnych w takich razach dolegliwości, coś jeszcze zaczęło mi się kołatać po głowie. Niezwiązane ze sobą strzępki obrazów. Zapach benzyny... Jakiś facet skaczący w worku... I ja na to spokojnie patrzyłem? Nie zrobiłem nic? Jakim to sposobem? Przecież jestem lekarzem, mam ratować ludzkie życie... Jeżeli to wszystko, co teraz sobie przypominam, nie było spowodowane zamroczeniem alkoholowym, to tym facetem mógł być tylko Jan Suwalski – mechanik samochodowy. Byłem świadomy tego, że to wszystko co się wydarzyło w dniu wczorajszym... a może dzisiaj? A może inaczej, to co się działo od

lat co najmniej trzech i było związane z Suwalskim wymaga wyjątkowej jasności umysłu, dlatego, biorąc pod uwagę mój obecny stan ducha i ciała, postanowiłem z konstruowaniem jakichkolwiek wniosków – wstrzymać się do godzin popołudniowych. Jednocześnie miałem wrażenie, że to, do czego dojdę w swoich dywagacjach po południu, będzie czymś bardzo ważnym – z jakiegoś tam punktu widzenia nieznanym jeszcze, ale bliskim odgadnięcia.

Wstałem. Z obrzydzeniem wprawdzie, ale nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. Na miękkich nogach zacząłem kręcić się po mieszkaniu i gdziekolwiek natknąłem się na lustro, tam wywaląłem jęzor na całą jego okazałość. Czemu tak robiłem? Chyba pod wpływem filmów, w których zawsze skacowani faceci wywalają jęzory do lustra. Każdą myśl na temat przypadku Suwalskiego odganiałem jak natrętną muchę. Nie pora jeszcze na to. Szykowałem właśnie coś do picia – kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. W szlafroku i z niechęcią poczłapałem do przedpokoju. Otworzyłem drzwi. Tak, to nie było kolejne przewidywanie, w progu stał uśmiechnięty Jan Suwalski. Powiedział: – Cześć!, odsunął mnie na bok i bezceremonialnie wpakował się do mieszkania. Zrozumiałem, że jesteśmy na ty. Oglądał mieszkanie. Stwierdził, że nieźle się urządziłem. Wyczułem, że nie przyszedł tylko po to, by obejrzeć moje mieszkanie. Dał mi kluczyki od samochodu. No dobrze... nie będę musiał sam się tym kłopotać. Ale to też nie był jego zasadniczy cel wizyty. O co więc chodzi?

– No, a co będzie z tym profesorem? – zapytał nagle. – Nie umówiliśmy się przecież wczoraj. Namówiłeś mnie przecież, że pójdziemy do jakiegoś profesora. Nie?

A więc to wszystko prawda. To, co wczoraj widziałem, zdarzyło się w rzeczywistości. Tak, tak – udawałem, że doskonale sobie przypominam naszą



wczorajszą rozmowę. Tak, tak oczywiście – dla dobra ludzkości to wszystko. Nie chciałem zaraz telefonować do Nabielskiego i umawiać się z nim na jutro. Trzeba będzie zadziałać przez zaskoczenie.

Powiedziałem więc Jankowi, że spotkamy się jutro o 12-tej w klinice – wiedział gdzie to jest. Zabiorę ze sobą wyniki badań sprzed trzech lat i to ostatnie zdjęcie, a potem przedstawię mu mojego nowego przyjaciela – fenomena, Janka Suwalskiego. Ale będzie miał profesor

głupią minę, gdy zapozna się z całością sprawy. Ze strony głupich min jeszcze go nie znałem. Ciekawe więc to będzie doświadczenie. Tym bardziej go zaskoczę, że będę miał własną koncepcję na ten temat. To znaczy mam nadzieję, że będę miał. W każdym bądź razie będę się starał coś wymyśleć. Tymczasem Suwalski zbierał się do wyjścia. Powiedział krótko:

– No, to cześć – do jutra.

Ale jeszcze w drzwiach dodał, że on już od dłuższego czasu podejrzewał się-

bie... no, że nie jest całkiem normalny, ale było mu z tym wygodnie, bo mógł poszpanować przed kumplami. Poszedł.

Należało rozgryźć ten problem. Nabielski na pewno zapyta: – A co pan o tym sądzi? A co ja właściwie o tym sądzę? Fakty są takie: facet z nowotworem jak stodoła chodzi po świecie od lat co najmniej kilku, nic go nie boli i czuje się dobrze. Potrafi wchłonąć w siebie zabójczą dawkę spalinowej trucizny i dalej nic mu nie jest, czuje się dobrze. Może potrafi też i inne rzeczy robić? Mam wrażenie, że na pewno tak. No więc co? A może to co w nim siedzi wcale nie jest nowotworem? Ale badania cytologiczne potwierdziły, że to jest nowotwór. A jeżeli wbrew wynikom badań – to nie jest nowotwór? No to czym jest do cholery? Zadałem sobie sporą dawkę pytań – odpowiedzi nie udzieliłem żadnej. Tak... Coś mi zaświtało w głowie, coś nieprawdopodobnego na pierwszy rzut oka, ale w końcu cała moja przygoda z Jankiem Suwalskim jest nieprawdopodobna. Gdyby tak założyć, że to co ma w sobie Suwalski rozszerza katalog organów człowieka o kolejny numer... zresztą bez owijania w bawełnę! Ten jego niby nowotwór jest organem ciała, który neutralizuje działanie trucizn – przynajmniej tych, które występują w spalinach samochodowych! A skoro inni ludzie takich organów nie posiadają, to co? To Suwalski jest mutantem!!! Science-fiction, jak Boga kocham! Nabielski jutro albo mnie odeśle do czubków, albo sam zwariuje. Wspaniała by to była sprawa. Generacja ludzi nieopodatnych na skażenia środowiska! I Janek Suwalski byłby pierwszym z tych ludzi! Bo chyba o to naturze chodziło, kiedy umiejscawiała w organizmie Suwalskiego to coś. Zupełnie niesamowita historia!!!

Zmoczyłem ręcznik zimną wodą i obwiązałem nim głowę. Jasność umysłu przede wszystkim. Jedyne szkopało to te wyniki badań cytologicznych. Nie pasu-

ją do mojej teorii – wręcz ją obalają. A gdyby tak wszystko przepuścić przez pryzmat teorii ewolucji? Tak, to mogłoby dać ciekawe wyniki. No bo tak: człowiek w miarę swego cywilizacyjnego rozwoju przetwarza swoje naturalne środowisko dla własnych potrzeb – i to coraz intensywniej, ale na pewnym etapie to przetwarzane środowisko obraca się przeciw niemu, staje się zjadliwe i agresywne. Do tego dochodzą i naturalne niekorzystne wpływy. Organizm ludzki stara się samoistnie zwalczać te negatywne zjawiska, ale w pewnym momencie staje się bezbronny, nieprzystosowany do zatrutego środowiska. Natura stara się zrobić coś z tym fantem. Ale to wymaga czasu. Próbuje natura różnych sztuczek, eksperymentuje, może tak, może inaczej – jakby tu tego człowieka przystosować – i na pewnym etapie pojawiają się paskudne choroby. Ile to już trwa? Trzy tysiące lat? A może dwadzieścia? Ludzie traktują te próby natury jako dopust Boży i straszliwą plagę. Owszem, to jest straszna choroba, ale tylko na pewnym etapie – etapie prób, doświadczeń i poszukiwań w kierunku tego właśnie przystosowania. Aż pewnego dnia w fiołce z napisem Jan Suwalski – wyrosło coś, co było od dawna oczekiwane. Tak, udało się! Eksperyment nr 1001<sup>11</sup> dał wreszcie pozytywny wynik. Ten jest przystosowany. Tak trzymać! Janie Suwalski, mechaniku samochodowy, trzydziestotrzyletni mężczyzno – nic cię nie boli, czujesz się dobrze, jesteś pierwszym, który się przystosował!

Postanowiłem już więcej o tym nie myśleć. Jutro będę miał czas u Nabielskiego, żeby się wygadać. Niesprawdzone to jeszcze może nieporadne, ale jest jakiś punkt zaczeplenia. Od czegoś w końcu trzeba wyjść by jakoś wyłumaczyć niezwykle casus Jana Suwalskiego...





Pod gabinetem profesora warowałem już od 11<sup>30</sup>. Czegoś się bałem, jak gdyby coś miało mi uciec. Nieuzasadniony wewnętrzny niepokój. Czy rzeczywiście nieuzasadniony? Nabielski to zrównoważony i rozsądny człowiek, będzie musiał spokojnie wysłuchać moich rewelacji. Właśnie ten jego rozsądek mnie niepokoił. Już dwa razy pytałem sekretarkę czy, aby na pewno profesor dzisiaj będzie. Korciło mnie by znów wejść i znów zapytać o to samo. 11<sup>45</sup> – dlaczego jeszcze nie ma Janka? Jeszcze kwadrans – trzeba cierpliwie czekać. Jest godzina 11<sup>55</sup>, za pięć minut wybuchnie rewolucja na światową skalę. Pomyślałem o swoich pacjentach. Jaką oni odniosą korzyść z mojego odkrycia? Czy pozwoli im to z większym poczuciem własnej godności – ludzkiej godności znieść cierpienie i beznadzieję oczekiwania na śmierć? Przecież oni nie są jeszcze przystosowani, ja też nie jestem, inni ludzie też nie są... Tylko on... Serce podskoczyło mi do gardła, kiedy przez okno zobaczyłem kroczącego przez plac Janka Suwalskiego – punktualny skubaniec. Stał na krawężniku, spoznał na przejeżdżający ładny, sportowy samochód. Zrobił kilka kroków i wtedy zza zakrętu wyłoniła się rozpedzona ciężarówka.

Chciałem krzyknąć, chciałem go ostrzec, przywarłem twarzą do szyby i wtedy, jak na zwolnionym filmie, dokładnie mogłem obejrzeć moment zderzenia dwóch mas – tak nierównych dla siebie przeciwników. Janek gdzieś znikł na chwilę, ciężarówka bez zatrzymywania się pojechała dalej. Na ulicy pozostał jak kupka brudnego śniegu strzępek ludzkiego ciała – już bez tajemnic i zawłości. Nie! To nie może się tak zakończyć!!! Biegłem jak zwariowany po schodach potykając się o innych ludzi, gonił mnie ich szept: wypadek, wypadek na ulicy, człowiek zabity. Co wy możecie o tym wiedzieć? Kiedy wybiegłem na ulicę, Janka na noszach przykrytych kocem niesiono do kliniki. Zebrał się tłumek

ludzi. Chwyciłem mocno za ramię jednego z lekarzy i wykrztusiłem z siebie tylko to, co było tak ważne: Żyje?! Lekarz spojrział na mnie zdziwiony i powiedział:

– Miazga.

...Wszystko skończone. Na miękkich nogach odszedłem kilka kroków na bok i oparłem się o słup ogłoszeniowy. Nie mogłem złapać oddechu. Niespodziewanie usłyszałem ciepły i znajomy głos:

– Co tu się stało, panie kolego? Cemu pan jest taki blady?

Stał przede mną profesor Nabielski – jak zwykle spokojny i zrównoważony. Cóż mogłem mu odpowiedzieć?

– Zdarzył się wypadek, panie profesorze. Zginął człowiek.

Powiedziałem to niezwykle spokojnie. Musiał go zdziwić mój wygląd i zachowanie bo odparł:

– I widok krwi zrobił na panu tak duże wrażenie? Panie kolego...

W całym zdarzeniu musiał dostrzec coś zabawnego, bo uśmiechnął się lekko. I już statecznym, spokojnym krokiem wkraczał na schody swojej kliniki. Do pracy, panie profesorze, do pracy, czekają na pana chorzy.

Wróciłem do swoich zajęć. Przez otwarte drzwi spod białej pościeli w różnych gestach spoglądały na mnie ręce, nogi, głowy. Jak wiele można wyczytać z tej absolutnie niemej, przerażającej samą swoją obecnością gestykulacji. Co mogę wam, ludzie powiedzieć? Że to wszystko nie tak? Że miałem w ręku kawałek prawdy, ale zgubiłem ją po drodze?

Zadzwonił telefon. „Kłaniał się pięknie” profesor Nabielski. Nie omieszkał mnie poinformować, że „w zasadzie” dla tego człowieka, który zginął w południe przed kliniką – to była dobra śmierć, że „w zasadzie” był już żywym trupem, że oto ma przed sobą jego kliszę, z której niezbitcie wynika, że miał przed sobą najwyżej trzy miesiące życia...